

21.09.2007

Nieproszeni weselnicy

W Teatrze Współczesnym w Szczecinie 22 września premiera "Wesela" w reżyserii Anny Augustynowicz. Czy dramat może dziś zamknąć dylematy wszystkich Polaków? Tych z przeszłości i tych z teraźniejszości? - pyta Łukasz Drewniak w Dzienniku.

Bodaj "Wesele" Andrzeja Wajdy z 1991 roku, w Starym Teatrze w Krakowie, było ostatnią próbą gry w niuanse. Śledziliśmy z zapartym tchem, jak legendarny zespół mierzy się z historią polskiego teatru, jak dodaje nowe kolory, nowe interpretacje do psychologicznych relacji między bohaterami. Była to próba bilansu. Diagnoza Polski ustępowała pola diagnozie człowieka, a potem konwencji teatru.

Pięć lat temu Mikołaj Grabowski w Teatrze Polskim we Wrocławiu poszedł w inną stronę. Przygotował przedstawienie niemalże antykwaryczne i akademickie, mieniące się kolorowymi strojami, schowane za aktorstwem i rytmem prawie umarłego teatru. Pozwolił sobie tylko na jedną radykalną zmianę - zamiast Wernyhory przychodził do bronowickiej chaty ukraiński hajdamaka, warchoł i rezun. Z podgolonym czubem wzywał do jakiejś ruchawki a nie powstania. Była w tym chęć sprawdzenia żywotności ram inscenizacyjnych zapisanych jeszcze przez autora, przywrócenie pierwotnego obrazu dramatu, który zgubił się przez lata eksploatacji. Nowe, nasze, współczesne miało ograniczać się do jednej sceny, której wyeksponowanie ustawiało widowisko w innym świetle. To nie mogło się udać.

Rudolf Ziolo w gdańskim Teatrze Wybrzeże zdecydował się na zabieg z pozoru rozsądny. Chcemy aktualności "Wesela"? Proszę bardzo, wystarczy tylko przełożyć galicyjskie realia z roku 1900 na polską rzeczywistość roku 2005. Dodać pamięć o XX wieku, otworzyć aktorów na publicystykę, szukać w bohaterach Wyspiańskiego prefiguracji dzisiejszych polityków albo szerzej obecnych postaw społecznych. Aktorzy grali we współczesnych strojach, Poeta był zblazowanym artystą w skórzanych spodniach, Czepiec działaczem Samoobrony, Maryna przyjechała na wieś prosto z zakupów. Dziwnie jednak brzmiały pozostawione bez

zmian frazy. W Polsce Samoobrony zdanie o słuchaniu "chłopów, którzy mówili wcale roztropnie" wywoływało wbrew intencjom twórców histeryczny śmiech na widowni. Ziolo zmienił Widma w symbole polskiej historii minionego wieku. Był Baczyński, pezetpeerowski działacz, oficer legionowy. Trudno się było pozbyć wrażenia, że wszystkie postaci dramatu są przebierańcami, udają obecność w naszych głowach i naszym życiu, a tak naprawdę żyją tylko w świecie teatru.

Michał Zadara zapragnął wystawić pokoleniowe "Wesele". W przedstawieniu z Teatru STU przeniósł akcję z bronowickiej chaty do dzisiejszego Krakowa. Skondensował liczbę bohaterów, wyrzucił starych, zostawił młodych. Na scenie zostało tylko pięciu chłopaków i trzy dziewczyny. Poeta, Gospodarz, Czepiec, Dziennikarz, Pan Młody, Pani Młoda, Maryna, Rachela. Nie rozpoznacie, kto ze wsi, kto z miasta, bo takie podziały dawno już się zatarty. Istotne jest raczej to, komu się dobrze powodzi, a kto już czuje się przegrany. Trzy dziewczyny z obsady są agresywne, wyzywające, drapieżne. One i ich partnerzy w sferze emocjonalnej i seksualnej przeszli więcej od własnych rodziców. Nie dojrzeli jeszcze, a już przeżyli rozczarowanie miłością. Szybki seks to żaden problem. Na przykład Rachela, afektowana ćma barowa, pójdzie z każdym. Panna Młoda ma bandaż na przegubie lewej ręki. Cięła się, wciąga z toalecie kokainowe kreski.

Zadara filtruje "Wesele" obyczajowo, podmienia zaobserwowane przez Wyspiańskiego zachowania na nowe. Tak się bawi dziś co wieczór w krakowskiej Alchemii, Pauzie, Rentgenie. O czym miało być to jego "nowe krakowskie" Wesele? Wszystko jest w tym spektaklu zapamiętaniem, zagłuszaniem życia i rzeczywistości wódką, seksem, narkotykami. Zadara bada szanse przyszłości młodych. I mówi: jesteśmy krótkodystansowcami.

Piotr Cieplak pod koniec minionego sezonu rozmontował dramat Wyspiańskiego na małe trybiki. W pierwszej części przedstawienia pod tytułem "Albośmy to jacy, tacy" doprowadza do absurdu motyw zaczarowanego koła z obrazu Malczewskiego, wozi na karuzeli wartości, opinii, postaw, słów i gestów całą dzisiejszą Polskę z Michnikiem i lustratorami, z Doliną Rospudy i wierszami Świetlickiego. Wszystko tu się powtarza, kłębi, kotłuje. Cytuje i przedrzeźnia. Na scenie nie ma chochoła jako postaci, bo u Cieplaka samo społeczeństwo jest chochołem. Wyzywa się, tańczy, międli, biega, krzyczy, bije o rząd dusz i nienawidzi do spodu.

Cieplak obdziera "Wesele" ze wszystkich mądrych i głupich znaczeń, jakie przez lata do niego przywarły i oddaje nam to "Wyspiańskie" czekanie na Polskę, na Wernyhorę, na czyn i sens w postaci czystej. Druga część spektaklu jest grana na biało, w ludowych strojach, w imitacji bronowickiej chaty. Dzięki temu "Wesele" rodzi się na nowo. Cieplak ucieka od struktury dramatycznej Wyspiańskiego, a może raczej szuka jej najgłębszego sensu.

Przyśpiesza tempo asocjacji i zaraz je spowalnia. Ale dławi go taka sama złość na Polskę, jaka dławiła autora "Klątwy". Wyspiańskiego trzeba ciąć - zdaje się mówić reżyser - od wierności formie ważniejsza jest wierność intencji.

Po tym spektaklu przestałem już wierzyć, że zobaczę jeszcze na polskich scenach arcydramat Wyspiańskiego grany w całości, inscenizację wierną didaskaliom i realiom epoki, będącą równocześnie przejmująco aktualnym wykładem na temat także i mojej Polski. Nie tylko poezja umiera, w nas także coś nieodwracalnie zanika - jakiś rodzaj wrażliwości, czułości na kontekst historyczny, słowo, dialog z rolami i interpretacjami z przeszłości. Wystarczyć musi gorący, wyrwany z samych trzewi poety strzęp. "Zawsze fragment" - jakby powiedział inny autor.

Na zdjęciu: "Wesele" w reż. Rudolfa Zioło, Teatr Wybrzeże, Gdańsk.

Tytuł oryginalny

Nieproszeni weselnicy

Źródło:

Materiał nadesłany

Dziennik nr 221/21.09.07

Autor:

Łukasz Drewniak

Data:

21.09.2007